
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Danuta Roszkiewicz z d. Szumińska – *Wakacje życia.* *Wspomnienia z wywózki dzieci polskich* *z Druskiennik do Ufy w czerwcu 1941 r.*

Początek okupacji. Szkoła.

W 1939 roku Białystok został zajęty przez wojska sowieckie. Oczywiście nowa władza wprowadziła nowe obyczaje, swoje prawa. Sklepy były na początku wszystkie pozamykane i musieliśmy stać w długich kolejkach po chleb. Nie można było nic kupić. Wszystkie sklepy były spustoszone przez żołnierzy radzieckich, którzy nagminnie wszystko kupowali – leki, zapalki, wszystko jak leci.

Przed wojną skończyłam cztery klasy szkoły powszechnej i zdałam wtedy do piątej klasy. Uczyłam się na ul. Grunwaldzkiej. Moja szkoła stoi dotąd, wówczas był to nowoczesny budynek z ubikacjami, z parkietem. W 1939 roku planowano nadać jej imię marszałka Rydza-Śmigłego. Pani polonistka przygotowywała mnie do powitania przyszłego patrona. Uczyłam się przemowy. Niestety nie zachował mi się ten tekst. Wiedziałam wówczas jak się zachować, jak dygnąć i kiedy. Wybuchła jednak wojna i nic z tego nie wyszło.

Nowa władza przeprowadziła w szkole reformę, prosił sobie wyobrazić dziesięciolatkę. Odtąd do szkoły oprócz maluchów z pierwszej klasy przyszli

uczniowie z dziesiątej klasy, a więc z gimnazjum. Oczywiście tłok był niesamowity. Starsi gdzieś się ściskali po kątach, całowali się, palili papierosy, a maluchy były potrącane. Niesamowite rzeczy się działy. Szkoła nasza była od reformy pod opieką kolejarzy – mówiło się „żelaznodorożnaja”. Z tej okazji w 1941 roku zorganizowane zostały kolonie w Druskiennikach.

Dowiedziałam się, że są jeszcze wolne miejsca. Pani wychowawczyni ogłosiła, że chętni mogą jechać do Druskiennik na kolonie. Wiedziałam, że w Druskiennikach przed wojną bywał pan Marszałek Józef Piłsudski i tam nawet mieszkał, miał dom, a zatem i ja zachciałam koniecznie zobaczyć te Druskienniki, bo jeszcze tam nie byłam, nie widziałam. Z mojej klasy, poza mną, zapisały się Bogusia i Krysia, trzeba było jednak zapłacić po 30 rubli. Oczywiście w domu tych pieniędzy nie było, pożyczyłam od cici. A ona później przez wiele lat miała wyrzuty sumienia, że dała mi pieniądze na te kolonie.

Kolonie

Nadszedł dzień wyjazdu 7 czerwca 1941 roku. Oprócz nas były też dzieci z innych szkół. Z mojej szkoły był jeszcze syn nauczyciela matematyki – Waldek Pisiecki. Łącznie około 30 osób. Niewielkie to były kolonie. Jechaliśmy pociągiem przez Grodno. W przedziale poza mną, jechały Bogusia, Krysia i jeszcze sąsiadka Krysi, Rózia. Zaczęłyśmy tam bałaganić, rozrabiać, śmiać się w tym przedziale. Wychowawczyni mnie zabrała stamtąd i postawiła za karę na korytarzu. Dzięki temu, jak przejeżdżaliśmy przez Niemen widziałam światła Grodna. Przyjechaliśmy do Druskiennik w nocy i spaliliśmy chyba, nie pamiętam już dokładnie. Rano furmankami zawieziono nas na kolonie.

Domki, w których mieszkaliśmy nie były duże. Cztery, czy trzy stały na wysokim brzegu Niemna, naprzeciwko lasu. Z dworca tam była prosta droga. Szliśmy pieszo, a nasze bagaże jechały na furmance. Pamiętam, że z lewej strony były zabudowania, a z prawej las. Mieszkaliśmy w takim niewielkim domku we cztery: ja, Bogusia, Krysia i Rózia. Były tam cztery łóżka, ganeczek. Naprzeciw naszego domku znajdowała się kuchnia i jadalnia. Karmili nas bardzo dobrze. Na śniadanie była szynka, serek żółty, masło, kakao i bułeczki białe. A tego nie widzieliśmy od 1939 roku. Nie trzeba tu było stać całą noc w kolejce po chleb. Także na obiad było mięso i zupa. Myśmy oczywiście zgłodniały wszystkie przez te wszystkie lata okupacji, także jadłyśmy z apetytem. Natomiast była wśród nas Rajka Zeligzon, żydówka. W Białymstoku mieszkała na ul. Bema 1. Jej rodzice mieli piekarnie. Pamiętam, że ona nie zawsze chciała jeść. Siedziała nad talerzem i płakała, a wychowawczyni mówiła: „Masz to zjeść! I dotąd będziesz siedziała zanim nie zjesz”. Potem kiedy już byliśmy daleko w Rosji, nie miałyśmy co jeść, to ona zawsze wspominała – „Jaka ja byłam głupia. Tyle było smakołyków, a ja nie jadłam”.

Zwiedzaliśmy Druskienniki. Pamiętam, że jak ktoś nas filmował, gdzieś na jakimś placu zabaw. Niewiele z Druskiennik pamiętam. Żadnego budynku. Natomiast dobrze pamiętam jak wyglądały te budynki w naszej kolonii. Pamiętam ten wysoki brzeg. Pamiętam jak zbiegaliśmy nad wodę, przyjemnie tam było. Beztróska. Koleżanki były. Koledzy byli. Jak to zawsze w Związku Radzieckim była pionierka, chociaż myśmy nie należały do pionierów. Uczyła

nas śpiewać piosenki. Pamiętam taką piosenkę: „Jest na świecie ozero Chasan ha ha” i trzeba było tak „ha, ha” zaśpiewać. A my zawsze wszystkie śmiałyśmy się. Niesamowicie śmiałyśmy się. Ona wiecznie się denerwowała i nigdy nas nie nauczyła tej piosenki do końca. Poza tym była tam też taka komisja złożona z kolegów, która sprawdzała, czy naszych w pokojach jest czysto. Sprawdzali pokoje zawsze jak już była cisza nocna. Któregoś razu, mnie to zdenerwowało wzięłam ręcznik i wyrzuciłam ich. Ręcznikiem pobiłam i wyrzuciłam za drzwi. Powiedziałam, że nóg nie będziemy pokazywały. Czy mamy czyste nogi czy nie. Koledzy długo to później wspominali.

Znów wojna

Nastał dzień 22 czerwca. W tym dniu mieliśmy mieć ognisko. Przyjechali rodzice z Białegostoku, ale jacyś byli zdenerwowali, zapłakani. Nam nic nie mówiono. Zjedliśmy śniadanie, następnie obiad o godzinie pierwszej. Potem po obiedzie wysłano nas do lasu. Dość jednak szybko kazano nam wracać do obozu. Okazało się, że wybuchła wojna. Niemcy napadły na Związek Radziecki. Spakowaliśmy się, zabraliśmy walizki i poszliśmy na dworzec. Na dworcu jak raz stał pociąg chyba według rozkładu. Wsiedliśmy normalnie. Jak przechodziliśmy nie było widać w mieście żadnej paniki. Dzieci w innych sanatoriach odpoczywały po obiedzie. Większość obserwowała nas wypatrując przez okna, zamiast leżakować w łózkach. Przyszliśmy, usiedliśmy normalnie. Był to typowy pociąg osobowy, przedziały, drewniane ławki. Odjechaliśmy.

Dojeżdżając do Grodna pojawił się samolot i zaczął nas ostrzeliwać. Kazano nam wybiec z wagonu. Ja oczywiście z walizką, ponieważ mamusia powiedziała, żebym pilnowała swoich rzeczy. Mam jeszcze tę walizkę. Położyłam się w zbożu i nakryłam się walizką, a obok leżał jakiś żołnierz radziecki. Wokół trwała strzelanina. Zaczęłam wtedy modlić się na głos „Pod Twoją Obronę uciekamy Święta Boża Rodzicielko”. A ten mówi: „Cicho bądź! Bo jeszcze usłyszysz i nas zastrzelą”. Bojec leżał koło mnie. Po kilku minutach samolot odleciał. Zebrano nas w pobliskich zabudowaniach i tam siedzieliśmy, a pociąg stał. Znacznie później, chyba już pod wieczór kazano nam wsiadać. Wsiedliśmy i powiedziano nam, że most został zerwany nad Niemnem w Grodnie. Mieliśmy jechać inną drogą. Byłyśmy spokojne. Jednak jechaliśmy już dość długo, ale nie do Białegostoku tylko gdzie indziej. I w tej chwili nie pamiętam, czy jeszcze tego samego dnia czy na drugi dzień znaleźliśmy się na granicy przedwojennej. Dodam jeszcze, że już w drodze do tego pociągu kiedy ludzie wsiadali kazano wysiąść wszystkim rodzicom. Niektórzy rodzice zabrali swoje dzieci, a nas powieźli okrężną drogą do domu.

W pociągu były także Rosjanki, matki dziewczynek z kolonii, które nie wiedzieć czemu zaczęły płakać. Pamiętam jak jedna kobieta płakała, mówiła, że ona tyle robiła, a teraz nic nie ma. Wszystko zostawiła. Nawet mydła nie ma. To ja mówię: To ja mogę pani dać mydło, bo mam jeszcze drugi kawałek. A ona mówi: „Dziecko, ty nic nie rozumiesz...” Płakała, że tyle dobra zostawiła i została bez niczego. Drugiego dnia, chyba w Smoleńsku, pociąg się zatrzymał. W restauracji na dworcu zjedliśmy obiad, taką ruską zupę „szczy”. I z powrotem wsiedliśmy i pojechaliśmy. Okazało się, że jak tylko wyjechaliśmy rozpoczęło

bombardowanie Smoleńska. Mieliśmy szczęście. Więcej już nas nie bombardowano. Pozostałe kolonie, też z Druskiennik jechały inną drogą. My chyba jechaliśmy na Baranowicze, Stołpce. A oni jakoś drogą okrężną przez Lidę, Wilno niesamowicie ich bombardowano. Jechaliśmy bardzo długo, przejeżdżaliśmy Wołgę.

Zatrzymaliśmy się w Moskwie. Dano nam po butelce mleka. Nawet nie wiem, nie pamiętam już, co myśmy jedli. Czy w ogóle jedliśmy? Chyba jedliśmy, jechaliśmy przecież 7 dni. Początkowo w pociągu był z nami pan ze Starosielc wychowawca. Później jednak wysadzili go na granicy. Towarzyszyła nam już tylko ta pionierka, którą poznaliśmy w Druskiennikach. Jechała z niemowlęciem, cała roztrzęsiona. Żaliła się, że wszystko zostawiła. Nie miała ze sobą żadnych rzeczy. W zasadzie nikt tam się nami nie opiekował. Przynajmniej miałam takie odczucie. Byliśmy jednak zdyscyplinowane, nie uciekałyśmy. Ani nie rozrabiałyśmy. Zresztą prawdopodobnie głodne byłyśmy. Pamiętam tylko, że zimno bywało w nocy. Siedziałyśmy skulone, bo potem bardzo dużo ludzi się napchało do tego pociągu. Do naszego przedziału chyba jeszcze ktoś doszedł z dzieci, ale dorosłych nie było.

Pobyt w Ufie

Przyjechaliśmy do Ufy na dworzec kolejowy. Nakarmiono nas na dworcu, a potem okazało się, że nikt nie wie co z nami zrobić. Nie spodziewali się nas tam. Skierowano nas do obozu pionierskiego, na takie letnisko gdzieś za Ufą, nad rzeką. Stały tam duże baraki mieszkalne, a jadalnia była oddzielnie. Była tam nawet świetlica, w której wyświetlano filmy. To musiał być stały ośrodek, bo był tam również zwierzyniec. Pamiętam małe niedźwiedzie, które tam mieszkały. W obozie obowiązywały dyżury. Pamiętam, jak nas przydzielono do karmienia zwierząt. Dobrze nas tam traktowano, wyżywienie też było dobre.

Zaczęliśmy już jednak tęsknić. Najgorsza była pierwsza noc, wszystkie płakałyśmy. Jeszcze na koloniach nie zdawałyśmy sobie sprawy z powagi sytuacji, a teraz zrozumiłyśmy, że nie pojedziemy do domu, że będziemy tu mieszkać bez rodziców. Stale myślałyśmy, że kiedyś wrócimy do Polski. Zawsze miałyśmy tę nadzieję. Płacz był tej nocy straszny. Cała sala płakała. Wychowawczynie prosiły, błagały i krzyczały. Nic nie pomogło. Musiało minąć kilka nocy dopóki nie przyzwyczaiłyśmy się. Noce właśnie były trudne do zniesienia.

W tym budynku, gdzie mieszkaliśmy była ubikacja. Ja tego dokładnie już nie pamiętam, ale podobno tylko dziury i deski. Koleżanka mówiła, że było tam bardzo brudno, ale trzeba było w nocy wstać i pójść się załatwić. Najmłodsze dziewczynki np. Danką miała wtedy 9 lat nie trafiały z powrotem do swoich łóżek. Często pakowały się do cudzych łóżek. Poza tym zaczęły się moczyć.

Jak przyjechaliśmy do Ufy to pierwszą zimę nie mieliśmy w czym chodzić. Tam w Związku Radzieckim wiadomo – planowa gospodarka, a my przyjechaliśmy bezplanowo. Także tylko w swoich sandałkach i w tych letnich płaszczkach, które miałyśmy na sobie.

Uczyliśmy się w domu dziecka, do budynku przychodziły nauczycielki. Zorganizowano czwartą, piątą i szóstą klasę. W siódmej już byłyśmy w szkole

miejskiej. Prawie nie wychodziłyśmy na zewnątrz. Wybiegałyśmy tylko do pracowni krawieckiej, tam nas uczono szyć, wyszywać. Pani, która tym zarządzała była krawcową z Baranowicz, nazywała się Ela Snowska. Jednak z nami rozmawiała tylko po rosyjsku.

Zimą bywały tam mrozy do ponad 40 stopni i niesamowite śnieżyce. Także był taki tunel w śniegu tylko do tej pracowni krawieckiej. Tamtędy właśnie przebiegałyśmy. Tak, jak mówiłam już nie chodziłyśmy nigdzie do miasta. Zaś nasi koledzy, jak to chłopcy oczywiście zwiedzali miasto w tym co mieli. Może buty mieli lepsze.

Proszę sobie wyobrazić, pewnego razu są w mieście i spotykają żołnierza polskiego. W Ufie! Żołnierza polskiego! Okazuje się, że w Ufie została stworzona Delegatura Rządu Londyńskiego. Kierował nią pan mjr Jan Kałaur z Białegostoku. Delegatura znajdowała się koło dworca kolejowego w Ufie na ulicy Karla Marksa 123. W skład personelu wchodził pan major Jan Kałaur, kapral Mieczysław Chornowski, sierżant Jerzy Makowski i pani Ada. Nazwiska nie pamiętam. To było dla nas niesamowite przeżycie - żołnierze polscy, dorośli!

Z tym faktem wiąże się i pierwsza nasza wigilia 1941 roku. Mróz był wtedy niesamowity. Popłakałyśmy się znowu, wspominałyśmy to jak to w domu było. Koledzy przyszli i nas wywołali na zewnątrz. Nie chciałyśmy początkowo iść, ze względu na mróz. Po chwili okazało się, że dostali z Delegatury opłatek. Ta noc była gwiazdzista niesamowicie. Podzieliliśmy się opłatkiem między sobą. Wszyscy Polacy, polskie dzieci. Oni mnie uświadomili w jednej kwestii. Ktoś powiedział: „Proszę pani, ale was izolowano od społeczeństwa”. Tak właściwie było: szkoła w domu. W lecie pracowaliśmy w kołchozie, ale też oddzielnie. Nie razem z tymi kołchoźnikami. Nigdy razem.

Chodziliśmy do pewnego pana na polski punkt, jak nazywaliśmy to miejsce. Przeżycie za każdym razem niesamowite. Obcować z dorosłymi osobami, z Polakami, przyjaznymi dla nas. Zawsze przytulili, pogłaskali, zapytali. Początkowo sami nie mieli co jeść, ale kiedyś poczęstowali nas takim krupnikiem, sinym, bez tłuszczu, na samej wodzie. Właściwie była to sama kasza gotowana, a i przydział chleba mieli też tylko dla siebie.

Później, jak zaczęły przychodzić amerykańskie dostawy wykwapowano i nas. Dostaliśmy kominiarki, swetry, rękawiczki, szaliki, kamizelki, kożuszki i buty. Proszę sobie wyobrazić, że ja tę kamizelkę przywiozłam do Polski. Nie zawszoną nawet. Mój brat mały nosił ją jeszcze i mój syn! Jeszcze gdzieś mam tę kamizelkę. Wszystkie te dary dostaliśmy jakoś jesienią 1942 roku. Szliśmy z tym wszystkich przez miasto, jeszcze nie założyliśmy nawet butów. Podeszła do nas jakaś Rosjanka podchodzi i mówi: „Daj dziecko, ja ci pomogę nieść”. A ja na to: „O co to, to nie”.

Dostawaliśmy wtedy również żywność m.in. mleko skondensowane. Jednak trwało to krótko, gdyż koledzy wyjechali. 2 stycznia 1942 starsi koledzy – Jan Grzendiński, Czesław Jaworowski, Jerzy Radziukiewicz, Waldemar Pisiecki, Tadeusz Żuriński, Kłosek wyjechali do szkoły junaków. Z tych do Polski tylko wrócił Jerzy Radziukiewicz. Chłopcy wyjechali, potem również i ten pan major wyjechał. Wiem, że oni potem z Andersem wyszli na Bliski Wschód. W Delegaturze kontynuowali pracę pan Józef Dolecki ze swoją żoną, Marią Dolecką, ale potem raptem wszystkich aresztowali i osadzili w więzieniu.

To było chyba w 1942 roku, w Wigilię. Wigilię udało się przyrządzić tradycyjną, bo już były produkty. Dostawaliśmy trochę jedzenia i pieniądze. To były niewielkie kwoty, po 10 rubli. Jajko kosztowało wówczas 7 rubli. Z tych pieniędzy można sobie było czasem na coś pozwolić, a to na szklanek pestek, a to na bilet do kina, czy fotografię.

Od momentu, kiedy koledzy wyjechali zrobiło nam się smutno. Jeszcze, kiedy wszyscy byli w Ufie przychodziliśmy do pana majora. Oficjalnie nie można nam było chodzić, a zatem wszystkie razem nigdy nie chodziliśmy. Najwięcej po dwie, trzy osoby, a reszta udawała, że jesteśmy na terenie domu dziecka. Proszę sobie wyobrazić, że pan major wypożyczał nam z biblioteki w Ufie polskie książki autorstwa Kraszewskiego. Ja przeczytałam chyba 11 książek. Ostatniej książki nie zdążyłam zwrócić, pan major wyjechał, a książka została. I ja tę książkę mam w domu.

Nas przywieziono początkowo do Domu Dziecka nr 5, ale potem znowu nas przerzucono do innego domu dziecka za Ufę. Tam prawdopodobnie było jakieś sanatorium. Mieszkaliśmy w niewielkim budynku w lesie przez kilka miesięcy. Było jeszcze lato, może wczesna jesień. Później znowu nas przewieziono do tego domu nr 5 w Ufie. I tam w tym domu dziecka byliśmy do roku 1945. Następnie w styczniu przyjechaliśmy do Karakulina, do innego domu.

Przez cały ten czas uczyliśmy się. Tak jak mówiłam, zamiast do szóstej, poszliśmy do czwartej klasy. Starsi koledzy i koleżanki poszły do siódmej klasy, ona mieściła się w innym budynku. Wtedy tak naprawdę zaczęło się nasze życie w tym domu dziecka. Mieszkałyśmy w pokoju z piecem. Drzwiczki jednak znajdowały się na zewnątrz, na korytarzu. Pamiętam, że w zimie było bardzo zimno. Ten piec wcale nie grzał. Zresztą trzeba było samemu palić, drewno przywozili, ale trzeba było popiłować, narąbać. No i tam napalić w piecu. Ja nigdy nie piłowałam i nie rąbałam, ponieważ zawsze byłam słaba, nie miałam siły. Natomiast koleżanka, Krysia i Boguśka były trochę wyższe, silniejsze. One właśnie zawsze to robiły. To była ciężka praca, drewno surowe, zmarznięte.

Początkowo spałyśmy po dwie, bo nie było miejsca. Potem rozluźniło się, bo te dzieci rosyjskie przeszły prawdopodobnie do innego domu dziecka. Myśmy w tym domu dziecka zostały. Ja miałam łóżko przy zewnętrznej ścianie. Także w zimie cała ściana była oszroniona, cała w śniegu. Ratowało nas to, że miałyśmy na łóżku dwa takie materace watowane. W zimie na jednym się spało, a drugim się przykrywało, bo ten koc cieniutki to nie grzał. Jednak zachowałyśmy tę zasadę, żeby jednak się rozbierać na noc. Nie spałyśmy w ubraniach.

Poza tym był problem z załatwianiem się, nie było ubikacji. Ubikacja znajdowała się na zewnątrz. Także w zimie pęcherze miałyśmy poprzeziębiane. Trzeba było iść póki jeszcze tam ruch był tj. kiedy wszyscy chodzili, nie spali, trzeba było wybiegać na zewnątrz i się załatwiać. Na noc miałyśmy wiadra, ale te wiadra zawsze były pełne, ciekło z tych wiader.

Wyżywienie w domu dziecka było bardzo słabe. Także przez tyle lat nie widzieliśmy ani mleka, ani masła, ani żadnych owoców, ani warzyw. Rano był kawałek chleba, woda zabarwiona, czasami cukier. Na obiad była zupa, ale woda sama, żadnej „krupinki”, taka bura ciecz. Na drugie danie niby kasza, ale taka rzadka, że jak warzachew dali i potem zastygło to tylko łyżka była

duża. Poza tym na kolację też niby kasza i kawałek chleba. Stale byliśmy głodni. Każdy myślał o jedzeniu, a zdobyć nie było gdzie. Także ja przez te wszystkie lata nic nie urosłam. Jaka wyjechałam na kolonie, taka wróciłam. Wszystkie tu moje koleżanki i kuzynki wyrosły już. Mama też myślała, że ja już jestem panna. W 1945 roku miałam już przecież 17 lat. A ja, przyjechałam taka jak wyjechałam.

Wiecznie tam chorowałam. Pamiętam dobrze szpitalik, izolatkę. Stało tam kilka łóżek, ale za to było ciepło. Jedzenie to samo, tylko jakby gęstsze. W zimie parę razy tam byłam. Chyba miałam też tyfus leżałam wtedy w szpitalu miejskim w Ufie.

To co utkwilo mi w pamięci z pobytu w domu dziecka to praca. Miałymy dyżury. Tam w okolicy ziemia była gliniasta. Także jak się chodziło, zwłaszcza po deszczu, to do podeszwy przyczepiały się grudy tej gliny. Na zewnątrz było ciężko chodzić, obuwia się nie zmieniało, chodziło się w tym zabłoconym. W domu natomiast podłoga była z desek, kiedyś tam malowana, ale farba już się wytarła. Codziennie trzeba było myć podłogi. Raz w sypialni, raz w jadalni, w stołówce i na korytarzu. Korytarz był długi, do czyszczenia podzielono go na części. Każda z nas sprzątała swoją część.

Latem pracowałyśmy w kołchozie - czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, 4 miesiące. A w zimie, woda do zmywania podłogi była lodowata. Ręce grabiały w tej wodzie. Naprawdę ciężko było wyczyścić tę podłogę codziennie.

Powrót

W 1944 roku po wyzwoleniu Białegostoku rodzice zaczęli się starać o ściągnięcie nas do Polski. Niektóre z naszych koleżanek jak np. taka z nami Maryśka, jak my na nią nazywaliśmy Markuszewka, Jarmuszewska – córka przedwojennego komunisty były bardzo krótko w Domu Dziecka w Ufie. Ona wróciła do Białegostoku zaraz po wyzwoleniu. Dzięki temu rodzice dowiedzieli się, że, my jesteśmy w Ufie.

Rodzice przestali mi takie zaświadczenie, że jestem obywatelką polską. Wtedy już nie było Delegatury Londyńskiej tylko był Związek Patriotów Polskich. I Związek przejął opiekę nad nami. Zaczęto się starać żebyśmy wrócili do Polski. Dopóki Niemcy okupowali te tereny, z Białymstokiem nie było żadnego kontaktu. Jak dowiedzieliśmy się, że Białystok jest wyzwolony, napisaliśmy listy i rodzice już zaczęli się starać.

W Ufie było nas wtedy 16 osób w 3 i 5 domu dziecka. Koledzy, jak mówiłam wyjechali z Andersem. Dwaj koledzy, którzy byli razem w innym domu dziecka wyjechali do Odessy do szkoły marynarskiej. Oni nawet wcześniej wrócili do Polski.

2/3 lutego 1945 roku wyjechaliśmy z Ufy do Karakulina. Jechaliśmy 10 dni do Polskiego Domu Dziecka. Rzeczywiście mieszkały tam dzieci polskie i żydowskie. One też, przyjechały z Druskiennik, tylko że z innej kolonii. Wyżywienie było już lepsze. Jadłyśmy buraki, marchew inne warzywa, bo dom dziecka posiadał tam swoje gospodarstwo. Także i zupy były gęściejsze dzięki temu. Tam byliśmy chyba tylko trzy miesiące, do 20 maja.

20 maja wszystko załatwiono. Wyjechaliśmy do Polski, łącznie 44 osoby. Z tamtej kolonii 28 osób i z naszej 16 osób. Czekaliśmy, aż miną wszystkie

przeszkody: aż wojna się skończy, potem czekaliśmy aż Kama ruszy, lody ruszą i w końcu statkiem przepłynęliśmy do Sarapula. Stamtąd już pociągiem do Moskwy. Okazało się, że w Sarapulu podstawiono nam taki skład, na który pan dyrektor Pewzner się nie zgodził. Tam jeszcze parę dni nocowaliśmy. Najpierw w wagonach tych starych, a potem nawet w hotelu.

A później już na statku, jakie smakołyki były. Dali nam kiełbasy, chleba do syta, masło. W Karakulino tego nie widzieliśmy. A potem jak już tam siedzieliśmy w Sarapulu to masła tyle było więcej, że jedliśmy masło z chlebem a nie odwrotnie. Tak nas zaczęli karmić dobrze. Przyjechaliśmy do Moskwy. Jakże oni nas tam w Moskwie przyjmowali – wozili, pokazywali wszystko. Metro widzieliśmy i Kreml. Nawet kazali pomachać Stalinowi. I jak jeść dawali dobrze. W Moskwie byliśmy parę dni, zwiedzaliśmy. Oglądaliśmy port rzeczny w Chimkach. Piękny dworzec rzeczny. Ale nikogo nie było tam z pasażerów. Na pokaz tylko. Także chodziliśmy po tych salach tego.

Działał tam w Moskwie, jakiś tam Związek Słowiański, gdzie urządzono nam przyjęcie. Było pełno oficjeli m. in. Zygmunt Modzelewski. Cała wierchuszka była na tym przyjęciu. Ale jakież to było przyjęcie! Wędliny, ciasta... Wszystkiego tyle lat nie widzieliśmy! Tyle lat nie smakowaliśmy. A ja byłam chora. Już jak jechaliśmy to się źle czułam. I potem już tam na przyjęciu nic nie mogłam jeść. To koledzy, bo my nie miałyśmy kieszeni, wszystko z tych półmisków w kieszenie, w kieszenie. Pierwszy raz przecież widzieli.

A ja zachorowałam. Oni pojechali, a ja zostałam. Leżałam w szpitalu. Najpierw w izolatce, a potem, już na sali ogólnej, było to wtedy, kiedy do Moskwy jak przyjechał Żukow ze swoimi żołnierzami. Weselili się, świętowali, że wojna się skończyła, że wrócili do domu. Śpiewali za oknami, pełno mieli zegarków. Balowali wtedy niesamowicie.

A ja wyzdrowiałam. Nie wiedziałam, co ze mną będzie leżałam w szpitalu, a w końcu umieszczono mnie w Domu Dziecka w Zagorsku. Przyjechała pielęgniarka, zawieźli mnie na kolację. Pamiętam, że dostałam wtedy talerz budyniu słodkiego, mlecznego. O Boże! Po tylu latach jem budyń taki. W Zagorsku był Polski Dom Dziecka i miał przydziały amerykańskie, karmili bardzo dobrze. Ten dom dziecka był pokazowy. Ściągnęli do tego domu dzieci z Archangielska i z północnych terenów, tam gdzie warunki były okropne, rodzice poumierali, a dzieci zostały same. Przebywało tam bardzo dużo maluchów żydowskich. Ponadto dużo dzieci w moim wieku, dziewczyn oraz chłopców, żydowskich i polskich.

Potem te dzieci wróciły do Polski i część z nich była w domu dziecka „Nasz Dom” na Bielanych w Warszawie. Wspomniany dom dziecka w Zagorsku znajdował się w pałacyku niedaleko słynnego klasztoru. Z okien było widać jego złote kopuły. Warunki były zupełnie inne. Ja niby skończyłam siódmą klasę, ale rok szkolny się zaczął i zaczęłam znowu chodzić do siódmej. Co miałam zrobić? Nauka odbywała się już po polsku. Poza tym, masa książek była polskich, zaczęłam czytać. Chyba z 60 książek przeczytałam przez te 3 miesiące jak tam byłam. Wychowawcy i nauczyciele byli Polakami. Po polsku się mówiło. Także atmosfera zupełnie inna była oraz wyżywienie dobre. Na podwieczorek dostawaliśmy czekoladę, herbatę pachnącą, prawdziwą, a nie jak wcześniej, nie wiadomo czym zabielaną. Tak więc tam odżyłam trochę.

Kończyła mi się ważność dokumentów na wyjazd i wysłano mnie w końcu samą do Polski. 30 listopada wyjechałam już z Moskwy razem z taką panią, która wracała do Warszawy. Oczywiście nie bydlęcym wagonem, tylko ambasada mi zafundowała sypialny pociąg. Sama nie kupiłam przecież. Przyjechaliśmy do Warszawy na Dworzec Wileński. Stamtąd trafiłam do Konstancina, gdzie tworzony był dom, do którego miały trafić dzieci z Zagorska. Nadałam telegram do rodziców, że mają przyjechać i mnie zabrać. Ja tam jeszcze 3 tygodnie siedziałam dopóki telegram doszedł do mamy i póki mama przyjechała. Tak, że dopiero na Boże Narodzenie gdzieś 21 grudnia 1945 roku wróciłam do Białegostoku.

Mama była rozczarowana, bo myślała że pannę ładną znajdzie. A znalazła karzełka z jakąś szyją wciśniętą w ramiona. Ja oczywiście byłam wzruszona, zapłakana. Jak dziecko włożyłam na kolana mamie i przytuliłam się. Tatuś mój wrócił z obozu w Stutthofie na Wielkanoc 1945 roku. Taka właśnie była moja droga*.

* Tekst na podstawie wywiadu przeprowadzonego przez Monikę Kościukiewicz z Danutą Roszkiewicz w 2012 r. Zbiory Muzeum Pamięci Sybiru sygn. ADZiD/HM/02, opracował Bogusław Kosel.